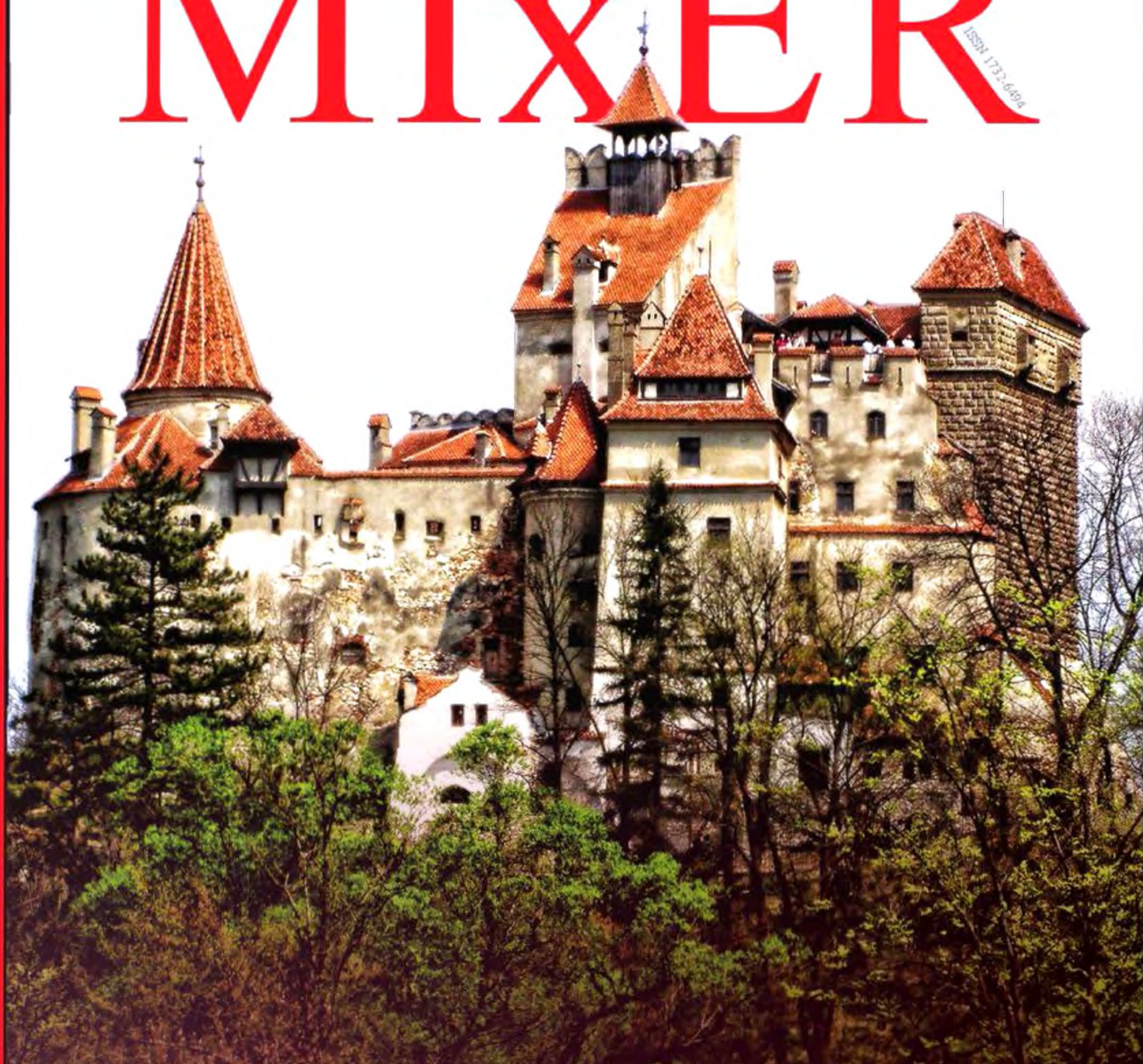


Nie wszystko złoto, co się świeci / Praktyka czyni mistrza / Pierwotne emocje

MIXER

N° 2/2016 (66)
magazyn studentów
Krakowskiej Akademii

ISSN 1732-6494



Witamy w Transylwanii

Wampiry i hrabia Drakula – to rzeczy, które jako pierwsze przychodzą na myśl, gdy mówimy o Rumuni albo konkretniej – Transylwanii. **Wszystko to zasługa licznych filmów, a szczególnie Brama Stokera i jego słynnej powieści.**

Spis treści

Witamy w Transylwanii.....	1
OSA sprawdzi autentyczność Twojej pracy.....	4
Festiwali Nauki.....	4
Nie wszystko złoto, co się świeci.....	5
Witamy w Transylwanii.....	7
Wsiąść do pociągu byle jakiego.....	9
Praktyka czyni mistrza.....	11
Urban legends – czyli horror w wydaniu miejskim.....	12
Po drugiej stronie ekranu.....	14
Niewygodna sprawa.....	16
Pierwotne emocje.....	17
Rihanna „Anti”.....	18
Aplikacja miesiąca: Tinder.....	19
Od wyścigów do spełnienia marzeń.....	22
Wybieramy samochód, czyli student mądry przed szkodą.....	23



Nasz zespół redakcyjny



Joanna Cisko



Ewelina Jaskowska



Magdalena Skalka



Karina Smirnova



Maciej Saskowski



Rina Shylovska



Olena Kiprich



Klaudia Kowalska

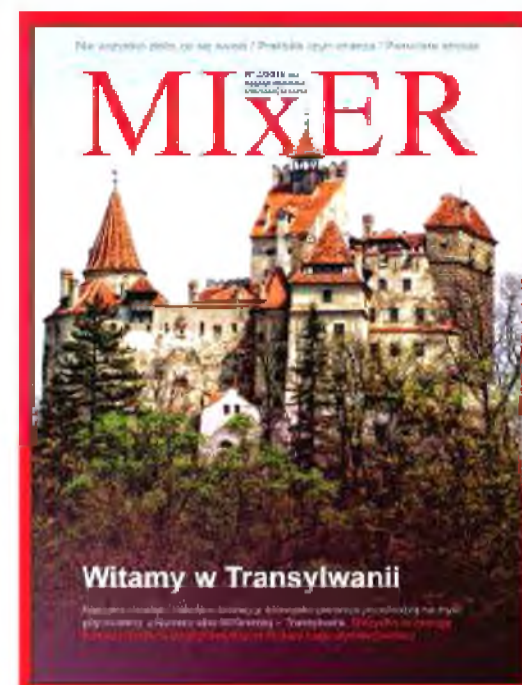


Krzysztof Szczupak

Zdobądź doświadczenie,
poznaj fajnych ludzi,
poszerz horyzonty!

**Dołącz do redakcji
MIXERA!**

Napisz na adres:
gazetamixer@gmail.com



MIXER magazyn studentów
Krakowskiej Akademii im. Andrzeja
Frycza Modrzewskiego

ISSN 1732-6494

Redaktor naczelny:

Joanna Cisko

joannakarolina.cisko@gmail.com

Zespół:

Ewelina Jaskowska

Olena Kiprich

Klaudia Kowalska

Szymon Łażny

Maciej Saskowski

Rina Shylovska

Magdalena Skalka

Karina Smirnova

Krzysztof Szczupak

DTP i layout:

Mateusz Janusz

(hussars.pl | teoportier.pl)

Adres:

gazetamixer@gmail.com

Druk:

Drukarnia MK Promo

Nakład:

500 egzemplarzy

Opieka redaktorska:

Dariusz Baran

(Wydział Zarządzania

i Komunikacji Społecznej)

Na okładce:

Zamek Bran – siedziba hrabiego

Dracuii z powieści Brama

Stokera. Fot. freeimages.com

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie
zwraća tekstów niezamówionych.

Szanowni Państwo,

to już drugi numer studenckiego „Mixera”, który oddajemy w Wasze ręce. Tym samym, cykliczność tego wydawnictwa stała się faktem, a dobre opinie i komentarze, które zespół redakcyjny otrzymał od Czytelników, zobowiązują do jeszcze bardziej wyężonej pracy.

Co mamy dla Was w tym numerze?

Przede wszystkim zajęliśmy się codziennymi, studenckimi problemami. Znajdziecie tu m.in. praktyczne porady jak wynająć dobry i niedrogi akademik czy też kupić swój pierwszy w życiu samochód. O ciekawym sposobie na zarobienie przez studenta pieniędzy oraz kulisach pracy w telewizji, dowiedziecie się z tekstu „Po drugiej stronie ekranu”. Pomożemy Wam także uniknąć plagiatowej wpadki przy pisaniu prac z systemem OSA.

Wraz z budzącą się wiosną, w sercach pojawia się tęsknota za zwiedzaniem świata i poznawaniem nowych kultur. Do urzeczywistnienia swoich marzeń, nawet przy mizernym, studenckim budżecie zachęca tekst o couchsurfingu. W ten sposób można poznać m.in. egzotyczną Transylwanię, siedzibę mitycznego hrabiego Draculi, którego historia od wieków pobudza wyobraźnię ludzi. A co budzi lęk w Polakach? Na to pytanie odpowiada tekst o legendach miejskich.

Wszystkich chcących się uczyć warsztatu od najlepszych, polskich dziennikarzy zapraszamy natomiast już w kwietniu na Konferencję Mediów Studenckich (odbędzie się ona w naszej uczelni w dniach 13-15 kwietnia).

Miłej lektury.

Joanna Cisto

Redaktor Naczelna



OSA sprawdzi autentyczność Twojej pracy

Od 11 marca 2016 r. w Krakowskiej Akademii im. A. Frycza Modrzewskiego działa program antyplagiacyjny OSA (Otwarty System Antyplagiacyjny).

Joanna Cisło

Redaktor naczelna magazynu Mixer

Studentka III roku Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego na kierunku Dziennikarstwo i Komunikacja Społeczna

Jest on licencjonowany przez Międzyuniwersyteckie Centrum Informatyzacji, a bazuje na zasobach internetu, lokalnego archiwum prac dyplomowych i Ogólnopolskiego Repozytorium Prac Dyplomowych. Ma on zapobiec bezprawnemu kopiowaniu i przypisywaniu sobie autorstwa treści, które zostały wcześniej stworzone przez kogoś innego. Docelowo system służy sprawdzeniu prac dyplomowych, jednak jest również użyteczny podczas uwierzytelniania rozpraw doktorskich, prac zaliczeniowych studentów, prac końcowych słuchaczy studiów podyplomowych, monografii, artykułów oraz innych publikacji wydawanych nakładem uczelni.

Procedura dotyczy wszystkich prac dyplomowych na studiach pierwszego stopnia, drugiego stopnia oraz jed-

nolitych magisterskich z wyłączeniem studentów, których ostatni semestr studiów przypadał przed rokiem akademickim 2015/2016. Każda z prac dyplomowych musi, przed przekazaniem jej do recenzji, zostać sprawdzona przez promotora w Systemie. Student, oddając swoją pracę, ma obowiązek załączyć oświadczenie, że została ona przez niego samodzielnie przygotowana i nie narusza praw własności intelektualnej. W przypadku zauważenia plagiatu lub jego podejrzenia, promotor zobowiązany jest do odnotowania tego faktu w raporcie, który następnie przekłada dziekanowi. Gdy okaże się, że podejrzenie ma pokrycie w rzeczywistości, przygotowania do obrony zostają wstrzymane, a informacja trafia do rektora, który zleca przeprowadzenie postępowania wyjaśniającego. ❌

Festiwal Nauki

W dniach 19-21 maja br. już po raz 16-sty nasza uczelnia weźmie udział w Festiwalu Nauki, który odbędzie się w Krakowie na Rynku Głównym.

Organizator Festiwalu, Uniwersytet Pedagogiczny, ustawi tam tzw. Festiwalowe Miasteczko Naukowe.

Krzysztof Szczupak

student III roku Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego na kierunku Dziennikarstwo i Komunikacja Społeczna

W namiotach każda z uczelni biorących udział w imprezie będzie miała swoje stoisko, na którym zaprezentuje różne ciekawostki ze świata nauki. Oprócz tego w planie Festiwalu są konkursy, prelekcje, wykłady, jak również zawody sportowe. Zainteresowanym sportem, a zwłaszcza kajakarstwem, polecany wyścigi smoczycich łodzi, w których nasza uczelnia odnosiła już zwycięstwa.

Jak zawsze Festiwal ma innego patrona i hasło przewodnie. W tym roku patronem jest znakomity

polski twórca literatury fantastyczno-naukowej, futurolog i filozof Stanisław Lem, zaś hasło to "Czas i przestrzeń". Najlepszą cechą wydarzenia jest różnorodność prezentowanych dziedzin naukowych każdy znajdzie tu coś dla siebie, a może i odkryje nowe pasje? Zainteresowanych najświeższymi informacjami odsyłamy na stronę internetową festiwalnauki.up.krakow.pl, a także fanpage na Facebooku. Do zobaczenia! ❌

Nie wszystko złoto, co się świeci

Na pierwszy rzut oka w krakowskich domach studenckich jest całkiem porządnie. Dlaczego więc goście z zagranicy zmuszeni są do „mieszkania na walizkach” i częstego zmieniania lokum?

Olena Kiprich

studentka II roku Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego na kierunku Dziennikarstwo i Komunikacja Społeczna



Fot. investwithalex.com

Akademiki prześcigają się w atrakcyjnych ofertach, które mają zapewnić im jak najwięcej studentów. Fale nowych przyjezdnych napływają w październiku, gdy zbliża się pora rozpoczęcia nauki lub też jej kontynuowania. By zainteresować i przyciągnąć chętnych, domy studenckie oferują luksusowe pokoje, lodówki, pralnie, pokoje cichej nauki, miejsca do grania w tenisa oraz ogród, pizzerię, klub studencki, centrum fitness, a nawet w niektórych przypadkach przedszkola. Czy jednak na pewno jest tam tak dobrze i wygodnie, jak się nam wydaje?

„Kiedy przyjechałam do akademika po raz pierwszy, przynknęłam na to oczy” – wyjaśnia studentka drugiego roku WSZIB Julia Potapenko – „ale kiedy dowiedziałam się, że w tym roku będę mieszkała bez mebli, postanowiłam rozwiązywać ten problem jak najprędzej.”

Zacy z Ukrainy już drugi rok mają problemy z zakwaterowaniem w jednym z domów studenckich. Administracja akademika nie może się ze sobą dogadać, a od kierowników nie można się doczekać pomocy i odpowiedzi na pytania. Dyrektor jest niemiły wobec cudzoziemców,

a kierowniczka nie zna nawet języka angielskiego. Co robią studenci w takim wypadku? Starają się walczyć o swoje prawa, ale często zdarza się, że bez większych sukcesów.

„W ubiegłym roku miałam mieszkać w pokoju luksusowym, przeznaczonym dla dwóch osób, gdy jednak przyjechałam na miejsce okazało się, że warunki mieszkalne są całkowicie odmienne od tych ustalonych. W efekcie przez półtora miesiąca mieszkałam w pokoju o standardowym komforcie, przeznaczonym dla trzech osób” – wyjawia mi Walentyna Bratukna, studentka II roku WSZIB. Jak szybko dodaje, musiała codziennie chodzić na zakupy, ponieważ nie posiadała dostępu do lodówki, w której mogłaby przechowywać jedzenie.

Sytuację potwierdza student II roku WSZIB, Bogdan Nyti: – „Było mi szkoda mięsa, które się z tego powodu psuło i oczywiście straconych i wyrzuconych w błoto pieniędzy. Najgorsze było chyba jednak to, że musiałem dzielić pokój z chłopakami, którzy pod wpływem alkoholu wynosili mi zawsze w weekend łóżko.”

Towarzystwo nieznające umiaru w korzystaniu z mocniejszych trunków oraz brak miejsca na przechowywanie jedzenia to jednak nie wszystko. Helena Czepeluk, studentka II roku WSZIB, potwierdza: „Na początku semestru w akademiku było bardzo zimno. Nawet na ulicy człowiek czuł się bardziej komfortowo niż tam”. Czy ogrzewanie lub jego brak były jedynymi problemami? Jak się okazuje – nie. „Nie mogłam nawet napić się herbaty, która na pewno nieco by mnie ogrzała. Niestety na wyposażeniu nie było czajnika, więc byłam zmuszona do podgrzewania wody w garnku, na jednej ze starych kuchenek. Gdybym wcześniej o tym wiedziała, na pewno wzięłabym czajnik z domu.”

Ja sama również miałam takie problemy. Ponadto, gdy przenosiłam się do swojego pokoju, dowiedziałam się, że moja przyszła sąsiadka zrezy-



Fot. euro.edu.pl

gnowała z pobytu w tym luksusowym lokum. Nie miałam wtedy pojęcia, z kim będę mieszkała. Na szczęście wszystko potoczyło się dobrze, a ja poznałam sympatyczną dziewczynę, z którą dzielę pokój do tej pory. Ona sama również nie kryje, że problemy z akademikami nie są jej obce. W jej przypadku nie chodziło jednak o odbiegające od normy wyposażenie pokoju, a... wymeldowanie.

„Z tego, co mówili mi inni, wiedziałam, że wykwaterowanie się z akademika nie jest łatwą rzeczą” – mówi Anastazja Barwińska, studentka II roku KA. „Z tego też powodu miesiąc wcześniej poszłam do kierowniczkę, żeby zapytać, czy mogę bez problemów oddać pokój. Dostałam odpowiedź twierdzącą, miałam jedynie pokazać pokój, że wszystko jest w nim w porządku, a następnie dostałabym swoją kaucję.” Proste? Niekoniecznie. Jak dodaje Anastazja, problem wystąpił podczas wyprowadzki, gdy trzeba było znaleźć osobę odpowiedzialną za oglądanie pokoi. Niestety, kierowniczkę nie miała pojęcia, gdzie szukać tej oso-

by i nie była w stanie udzielić żadnej pomocy. „Na szczęście wszystko skończyło się dobrze, a ja w ciągu trzech godzin wymeldowałam się z pokoju. Strasznie się jednak wtedy zdenerwowałam, ponieważ miałam tego dnia autobus do domu i bałam się, że mogę się na niego spóźnić lub w ogóle nie pojechać” – dodaje szybko dziewczyna.

Doświadczenie ubiegłego roku nie na wiele się zdaje, ponieważ – jak w słynnym powiedzeniu – historia lubi się powtarzać.

„Nie będę miała problemów w tym roku?” – pyta z przekąsem Julia Potapenko, i sama szybko sobie odpowiada: „bzdura”. Sytuacja z ubiegłego roku powtórzyła się, a dziewczyna dowiedziała się, że zrobiona przez nią wcześniej rezerwacja i wpłacone pieniądze zupełnie się nie liczą. „Powiedzieli mi, że zaowu będę mieszkać w pokoju o standardowym komforcie, bo w moim jest już jakiś chłopak. „Ja natomiast zostanę zakwaterowana na innym piętrze i w innym pokoju” – wyjaśnia z irytacją. Nie jest

ona jedyną, która nie może pohamować swoich negatywnych emocji w stosunku do tego, co dzieje się w domach studenckich. „Plastikowa szafa w naszym pokoju zepsuła się już w pierwszym dniu” – opowiada Anastazja Barwińska i szybko dodaje, że – „półki nie wytrzymują nawet trzech talerzy, bałabym się położyć na nich coś cięższego z obawy, że po prostu się urwą.”

Oprócz braku mebli do długiej listy nieprzyjemności dołączył brak możliwości korzystania z internetu przez dwa tygodnie. Jak opisuje Waleria Luteta, studentka II roku WSZIB, miała wtedy projekty i prace do zrobienia, jednak z tego powodu nie była w stanie ich wykonać.

Warto dwa razy zastanowić się nad wyborem miejsca swojego zamieszkania i uważnie przeglądać wszystkie kuszące oferty akademików. W końcu to w nim spędzimy kilka najbliższych lat i najważniejsze, by był on dopasowany i dostosowany do naszych potrzeb. Czasami warto podziękować za taki „luksus” i poszukać czegoś innego. ❧



Witamy w Transylwanii

Wampiry i hrabia Drakula – to rzeczy, które jako pierwsze przychodzą na myśl, gdy mówimy o Rumuni albo konkretniej – Transylwanii. Wszystko to zasługa licznych filmów, a szczególnie Brama Stokera i jego słynnej powieści.

Rina Shylovska

studentka III roku Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego na kierunku Dziennikarstwo i Komunikacja Społeczna

Z innej strony, wielu ludziom Rumunia kojarzy się z biednym krajem, w którym mieszkają Romowie oraz włóczędzy. Podróżując przez ten piękny kraj szybko można się przekonać, że żaden z powyższych stereotypów nie jest prawdziwy i nie ma podstaw w rzeczywistości.

Do Rumunii trafiłam w nocy, kiedy spokojnie spałam w autobusie. Zmierzaliśmy do miasta Cluj-Napoca (Kluż-Napoka). Głównym celem mojej wyprawy było zobaczenie tak zwanego „zamku Draculi”, który znajduje się w mieście Braş. Wszędzie, gdzie popatrzyłam, było naprawdę przepięknie. Z obu stron drogi, którą jechaliśmy, stały wyłożone kamieniem domki z wysokimi, ostrymi, średniowiecznymi dachami. W oddali, poza miastem, na tle jasnego nieba było widać jedynie zarysy gór. Naprawdę fascynujący widok. Wszystkie najciekawsze rzeczy miały jednak miejsce dopiero później.

Târgu Mureş było następnym miastem, w którym wybraliśmy się



na dwugodzinny spacer. Wąskie uliczki oddzielające od siebie stare, stojące tam całe lata budynki, które nie zostały zniszczone przez czas lub wojnę, oraz nowe, lecz wybudowane w dawnym stylu. Idealnie ze sobą współgrały łącząc starożytność z nowoczesnością.

Charakterystyczną rzeczą w Rumunii okazała się duża liczba pomników Romulusa i Remusa – braci, założycieli Rzymu, których według legendy wykarmiła wilczyca. Kiedy zapytałam swojego chłopaka, dlaczego stoi ich tam tak wiele, odpowiedział – „A dlaczego Rzym i Rumunia



to prawie takie same nazwy?” (Rome i Romania). Zrozumiałam, że tutaj w Transylwanii oprócz słynnego Władcy Tepesa, zwanego Draculą, znajdowało się kiedyś również wielkie Imperium Romanum!

Kolejną radością był jabłkowy jarmark w centrum Târgu Mureș. W jednym miejscu zgromadzone dziesiątki różnych rodzajów jabłek: czerwonych, żółtych, fioletowych, pomarańczowych, zielonych i różnokolorowych.

Z Târgu Mureș udaliśmy się do miasta pod nazwą Sighișoara. Jeżdżą tutaj jedynie „small buses” (jak wyjaśniła nam łamanym angielskim pani na dworcu kolejowym), i właśnie jeden z nich zabrał nas z Auto-gara. Tam do kolejnego celu naszej wyprawy. Jest to bardzo stare miasto, w historycznej części Transylwanii, na każdym kroku można tu odczuć aurę tajemniczości i mroku. Tak naprawdę najbardziej interesujący fragment miasta (czyli stara jego część) znajduje się w twierdzy na górze, otoczonej małym laskiem. Dotrzeć tam można schodami, zbudowanymi specjalnie na potrzeby turystów. Twierdza ta jest pilnie strzeżona przez



UNESCO, ponieważ znajduje się na tej górze od XIII w. Od początku jej istnienia została zdobyta tylko jeden raz z powodu niedoboru wody. Mieszkańcy twierdzy zmusili wtedy dwóch tureckich jeńców do wykopania studni w zamian za darowanie im życia. Obietnica nie została jednak spełniona, ponieważ ci zostali zabici, gdy tylko prace dobiegły końca. Niedawno podczas wykopalisk na dnie studni odnaleziono dwa szkielety.

W tym samym miejscu jest zlokalizowany pierwszy napotkany przeze mnie pomnik poświęcony hrabiemu Drakuli, a tuż obok niego znajduje się dom, w którym się urodził (budynek ten nie jest wymieniony w przewod-

niku UNESCO). Aktualnie działa w nim pub.

Mieszkańcy nie lubią rozmawiać o Władcy Palowniku. Większość turystów przyjeżdża do Rumunii właśnie z jego powodu, by zobaczyć jego dom i zamek, ale przez to zapominają o innych, równie interesujących zabytkach.

Naszym następnym miejscem przeznaczenia jest miasteczko Brașov. Bardzo czyste i miłe, z równymi, małymi budynkami, różnokolorowymi, zupełnie jak tęcza.

Na koniec pozostawiamy sobie największą atrakcję. Zamek Bran zlokalizowany jest w małej wsi o tej samej nazwie. Większość turystów zna jedynie część jego historii, nie zdając sobie sprawy z jej zdecydowanie bardziej rozbudowanej części. Zamek ten jest nazywany przez turystów zamkiem Draculi, ponieważ istnieje mit o tym, że spędził w nim kiedyś noc. Jest to jednak tylko legenda.

Prawdziwa historia zamku sięga XIII wieku, kiedy mieszkańcy wsi otrzymali zezwolenie na zbudowanie go z własnych funduszy. Z tego, co udało mi się przeczytać na tablicach informacyjnych, zamek Bran od początku jego powstania nigdy nie został zniszczony. NIGDY. Stoi tam po dzień dzisiejszy tak jak w XIII wieku. Z prawdziwych ludzi mieszkających w zamku Brana, można wspomnieć o królowej Rumunii Marii, która jest znana ze swej działalności w czasach II wojny światowej. Obecnym właścicielem zamku jest jej wnuk, który wynajmuje go władzom Rumunii jako muzeum.

To tylko kilka zwiedzonych miejsc w Rumunii, a jest ich znacznie więcej. Być może kraj ten pod względem ekonomicznym należy do biednych, ale na pewno nie jest taki w aspekcie kulturowym i duchowym. Wracając do Rumunii za każdym razem można znaleźć coś nowego i odkryć jej kolejne tajemnice. 📌



Wsiąść do pociągu byle jakiego...

Masz dość wycieczek z biurem podróży i pragniesz poznać zwyczaje danego miasta, tubylców oraz kulturę? Couchsurfing to coś dla Ciebie.

Joanna Cisto

Redaktor naczelna magazynu Mixer.

Studentka III roku Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego na kierunku Dziennikarstwo i Komunikacja Społeczna

Czasami każdy z nas, jak w piosenie „Remedium” Maryli Rodowicz, chciałby uciec daleko od swoich problemów i otaczającej go rzeczywistości. Jeżeli za oknem panuje płucha, a szarość atakuje nas na każdym kroku, nasze myśli przeważnie zwracają się ku odległym, ciepłym krajom. Wzdychamy wtedy do ofert biur podróży i oglądamy vlogi z najdalszych zakątków świata. Chcielibyśmy, jak popularni YouTuberzy, spakować się jednego dnia i wyjechać przed siebie, nie musząc się o nic martwić. Co nas zatrzymuje? Otrzeźwienie następuje przeważnie chwilę po sprawdzeniu stanu konta bankowego. Nie mamy się co czarować – funduszy starczy jedynie na bilet do kina, a nie na upojone podróże. Nie oznacza to jednak, że mamy porzucić marzenia i zamiast pakować do walizki kostium kąpielowy, wertować jedynie katalogi wyświetlanych aktualnie filmów.

Podróżowanie bez sporych oszczędności nie jest wbrew pozorom skomplikowane.

Couchsurfing.com to globalna społeczność łącząca 10 milionów ludzi z ponad 200 tysięcy miast. Przyświecająca jej idea jest naprawdę prosta – rejestrujemy się na stronie, wypełniamy profil i szukamy osoby, która udostępniłaby nam miejsce do przenocowania. Nie chodzi tu jedynie o znalezienie wygodnego pokoju, ale poznanie kultury kraju, do którego się wybieramy oraz jego zwyczajów. Nasz gospodarz, jeżeli tylko będzie dysponował czasem, oprowadzi nas po swoim mieście, po miejscach, o których nie przeczytamy w żadnym z przewodników. Dzięki niemu posmakujemy tradycyjnej kuchni, poznamy nowych ludzi i być może nawiążemy znajomości na całe życie. Co jednak z ceną? Sam nocleg nie kosztuje nas ani grosza, a jedyne

koszty, jakie ponosimy, to te, które wynikają z podróży i samego dostania się na miejsce. Autorzy zachęcają do podzielenia się swoim życiem oraz nawiązania kontaktu z innymi ludźmi, nazywanymi przez nich „przyjaciółmi, których jeszcze nie poznaliście.” Jak można się domyślić, pomysł wzbudził zainteresowanie wśród użytkowników internetu i szybko stał się popularny.

Iwona, jak sama przyznaje, nigdy za bardzo nie interesowała się couchsurfingiem i dopiero, gdy wybierała się na tygodniową wycieczkę do Barcelony, pomyślała, że zaryzykuje. „Tak naprawdę nie wiedziałam o swoim gospodarzu zbyt wiele, jedynie to, że jest Turkiem i posiada dobre opinie na portalu. Wymieniłam z nim wcześniej kilka wiadomości, jednak gdy stałam na dworcu i czekałam, aż się pojawi, byłam przerażona. Jedyne co powodowało, że czułam

się nieco lepiej, była obecność mojej przyjaciółki, która pojechała tam ze mną.” Jak się okazało, mężczyzna, u którego miały nocować, mieszkał 20 km od Barcelony, jednak zgodnie z ustaleniami pojawił się na miejscu i zawiózł je do siebie. Iwona opowiada o tym ze śmiechem, jednak zgadza się, że było to ryzykowne doświadczenie. „Byłyśmy same, w obcym mieście i na dodatek był środek nocy. Gdyby nasz gospodarz nie pojawił się na miejscu – jedyne, co byłybyśmy wtedy w stanie zrobić, to wystawić mu negatywny komentarz na portalu. To jednak nie zmieniałoby naszej sytuacji, zostałybyśmy całkowicie bez noclegu.” Zaufanie okazuje się więc podstawą udanej podróży. Ono, oraz oczywiście chęć do przeżycia przygody i zamiłowanie do ryzyka. „Couchsurfing ma jednak wiele zalet” – dodaje szybko moja rozmówczyni i wspomina, że ich gospodarz był bardzo chętny do oprowadzania i pokazywania miasta. Iwona zaznacza jednak, że pomimo tego, że okazał się naprawdę sympatycznym człowiekiem, zdecydowanie woli swobodne warunki mieszkania niż dzielenie je z kimś całkowicie obcym. „Jeżeli miałabym się ponownie zdecydować, to pewnie tak jak za pierwszym razem – jedynie z osobą towarzyszącą i wyłącznie na jedną noc” – odpowiada, gdy pytam, czy chciałaby ponownie wyruszyć w nieznaną.

Mój następny rozmówca, Karol, wydaje się nie posiadać takich dylematów. Z pomocą couchsurfingu udało mu się odwiedzić Pragę, Seattle, Vancouver i Nowy Jork. Głównym powodem, podobnie jak w przypadku Iwony, była tutaj chęć taniego zwiedzenia miejsc, które wcześniej dane mu było oglądać jedynie w internecie lub telewizji. „Miałem wtedy mniej niż 20 lat i najzwyczajniej na świecie nie było mnie stać na drogie noclegi w hotelach. Kolejnym czynnikiem była oczywiście ciekawość, jak to wszystko wygląda; czytałem wcześniej o takiej metodzie podróżowania i chciałem się przekonać na

własnej skórze, czy wszystko rzeczywiście jest takie proste i łatwe.” Pytam o obiekcje, jednak Karol szybko wyprowadza mnie z błędu: – „zupełnie się nie bałem. Będąc w Seattle mieszkałem u osoby homoseksualnej, a gdy byłem na Bronxie przełamałem stereotypy zatrzymując się u Afroamerykanina.” Przyznaje, że zapewne jako kobieta miałabym nieco trudniej, jednak jeżeli dana osoba ma na stronie dużo pozytywnych komentarzy, nie powinnam się za bardzo obawiać. „Moja metoda poszukiwania odpowiedniego gospodarza polegała na tym, że każdego dnia wysyłałem po kilka zaproszeń i wybierałem osobę, która zgadzała się na moją ofertę. Chociaż nie ukrywam, że najbardziej lubiłem tych, których profile były ciekawe i wzbudzały moją sympatię.” Każda osoba, która chce wziąć udział w wielkiej przygodzie, musi bowiem stworzyć swój własny profil na stronie, na którym ma szansę przybliżyć odwiedzającym kim jest i co spowodowało, że zdecydowała się na taką metodę podróżowania. Możemy również podzielić się na nim swoimi zainteresowaniami, krajami, które udało się nam do tej pory zwiedzić, znajomością języków czy też zamieścić zdjęcia. Oprócz tego istnieje system komentarzy, który jest swojego rodzaju zabezpieczeniem i pozwala ocenić danego użytkownika i wystawić mu ocenę. Czy opisy są jednak zawsze adekwatne do rzeczywistości? Rafał śmieje się na wspomnienie czasów, gdy mieszkał w Nowym Jorku: „była taka sytuacja, gdy nie wiedziałem co powiedzieć. Wszedłem do mieszkania, w którym miałem się zatrzymać i zobaczyłem, że mój gospodarz wywiesił sobie na ścianie zdjęcie swojego kolegi. Nie byłoby w tym nic dziwnego gdyby nie to, że mężczyzna był na nim kompletnie nagi. Jeżeli jednak chodzi o warunki czy też samych ludzi – nie mam im nic do zarzucenia.” Jak po chwili dodaje, niektórzy gospodarze pokazują miasto i chętnie oprowadzają po nim urlopowiczów, jednak inni pracują

i ich gościnność ogranicza się do rozmowy oraz zaoferowania miejsca do spania. „Moja rada dla wszystkich? Pojechać i samemu przekonać się jak to jest.”

Couchsurfing to jednak nie tylko nocowanie u innych za darmo i korzystanie z ich gościnności. To również oferowanie miejsca u siebie i otwarcie się na innych. Jak zaznacza Ewa, nie ma takiego obowiązku, jednak założeniem strony jest to, że raz my nocujemy u kogoś, a raz ktoś u nas. Sama była gospodarzem dla innych cztery razy i nigdy nie miała żadnych kłopotów ze swoimi gośćmi. Czy jednak zawsze chodzi wyłącznie o bezpłatny nocleg? Moja interlokutorka szybko wyprowadza mnie z błędu: „tu nie chodzi jedynie o to, że możesz się u kogoś zatrzymać nic za to nie płacąc. Ci ludzie chcą Cię lepiej poznać, dowiedzieć się czegoś więcej o Tobie i o Twojej kulturze. To nie jest hotel, a bardziej jak wizyta u przyjaciół, z tą różnicą, że dopiero ich poznajesz.” Jak sama wspomina, często podróżuje po świecie, oprowadza ludzi po miastach i umawia się z nimi na kawę, by nawiązać nowe znajomości. Jej rady? „Jeżeli dopiero zaczynasz, na początku na pewno będzie nieco trudno znaleźć nocleg, nie posiadając żadnych opinii. Dobrym sposobem jest więc najpierw ugoszczenie kogoś po to, żeby wzbudzić zaufanie.”

Couchsurfing to interesująca i kusząca alternatywa dla wszystkich poszukujących nowych doznań i innowacyjnych rozwiązań. Możemy zaoszczędzić dzięki niemu pieniądze oraz nawiązać znajomość z ludźmi, których zapewne w innych okolicznościach nigdy byśmy nie poznali. Warto jednak pamiętać, że pomimo rozbudowanych opisów, zdjęć oraz systemu komentarzy nigdy tak naprawdę nie mamy pewności, na kogo trafimy. Może to być zarówno nasza bratnia dusza, jak i osoba, która będzie nas irytowała każdym słowem i samą obecnością. Jest to więc swojego rodzaju ruletka jedynie dla odważnych i niebojących się przygód. **x**

Praktyka czyni mistrza

Moscow City Ballet, czyli popularyzowanie sztuki rosyjskiej w Polsce – wywiad z Larysą Palaginą.

Karina Smirnova

studentka II roku Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego na kierunku Dziennikarstwo i Komunikacja Społeczna

Jedną z najbardziej rozpoznawalnych dziedzin sztuki jest balet. Balet, który wielu z nas może się kojarzyć przede wszystkim z Rosją. Wiadomo dlaczego: właśnie tam narodziła się najsłynniejsza technika tańca klasycznego, zapisana w ponadczasowej książce „Podstawy tańca klasycznego” (1934); także sławne rosyjskie balety, takie jak grupa Balety Rosyjskie Siergieja Diaghilewa, zachwycały publiczność swoim repertuarem, który również do dzisiaj jest aktualny.

Rosjanie kochają balet, dla wielu z nich jest wręcz narodową tradycją. Dziś też, podobnie jak za dawnych lat, bardzo trudno jest się dostać do Państwowej Szkoły Baletowej w Moskwie czy Sankt Petersburgu. Trzeba spełniać wymogi nie tylko biologicz-

ne (sprawność fizyczna), ale też mieć do tej sztuki predyspozycje. Dla wielu więc, niestety, pozostaje to nieosiągalne, bez względu na ich starania. Mimo to w państwowych szkołach baletowych klasy są pełne, choć nauka w nich oczywiście nie jest łatwa: dziecko spędza w szkole niemal cały czas, na zajęciach ogólnokształcących i tanecznych. Inaczej w Polsce – tu nabór nie jest już tak restrykcyjnie przeprowadzany. Sam balet cieszy się jednak niestąbnym uznaniem.

Przykładem na to jest jedno z ważniejszych kulturowych wydarzeń z grudnia minionego roku, jakim było dwusetne przedstawienie rosyjskiego zespołu baletowego Moscow City Ballet w Polsce. Każdego roku wybitni tancerze moskiewskiej grupy

zalożonej przez choreografa Victora Smirnova-Golovanova przyjeżdżają do Polski, zachwycając swoim repertuarem, choreografią i scenografią. Przepiękne kostiumy i wyrazistość ruchów tancerzy są istną „bajką na żywo”. W grudniu Moscow City Ballet przygotował m.in. balet „Dziadek do Orzechów” Piotra Czajkowskiego.

Udało mi się porozmawiać z Larysą Palaginą, Białorusinką, absolwentką Państwowej Szkoły Baletowej, później pierwszą tancerką w Teatrze Wielkim w Mińsku. Przez 20 lat tańczyła solowe partie, by kolejne 20 lat poświęcić nauczaniu dzieci w swoim zespole. Dzisiaj uczy w jednej z baletowych szkół w Krakowie – Krakowskiej Królewskiej Szkole Baletu i Tańca.

Karina Smirnova: Na Białorusi balet jest na światowym poziomie, dlatego opuściła Pani swój kraj i przyjechała do Polski?

Larysa Palagina: 7 lat temu po raz pierwszy przyjechałam do Polski ze swoim zespołem na warsztaty organizowane przez jedną z krakowskich szkół baletowych. To miasto od razu mi się spodobało, jest bajeczne i piękne. Dlatego, gdy zaproponowano mi, by uczyć na stałe w tej szkole, przy której miał właśnie powstać mały zespół baletowy, natychmiast się zgodziłam. Lubię, jak coś się wokół dzieje, a tym bardziej, jeśli ma powstać coś, w co będę mogła być tak mocno zaangażowana.

Karina S.: W Krakowie nie ma tak profesjonalnych szkół baletowych (ogólnokształcących), jakie znajdują się w Rosji. Jak postrzega Pani różnicę pomiędzy uczniami i nauczycielami?

Larysa P.: Moją pierwszą nauczycielką tańca klasycznego była Nina Mładinskaja, a ona z kolei była pierwszą uczennicą samej Agripiny Waganowej. Jej książka „Podstawy



Fot. gentlemanschoice.pl

tańca klasycznego” jest znana na całym świecie, i to z niej właśnie uczono we wszystkich państwowych szkołach baletowych. W Krakowie do baletu podejście jest hobbystyczne, co mnie, jako wymagającej nauczycielki, nie cieszy. Dzieci podchodzą do baletu jak do rozrywki, zabawy, podobnie jak ich rodzice. Zajęcia zazwyczaj odbywają się dwa lub trzy razy w tygodniu, a to zdecydowanie za mało dla profesjonalnej, zawodowej nauki. O nauczycielach nie będę się wypowiadać.

Karina S.: Jak wiele dzieci w Krakowie wybiera jednak później balet jako zawód?

Larysa P.: Jak mówiłam, trudno jest tu traktować balet na profesjonalnym poziomie, gdyż nie każde dziecko traktuje go poważnie. Ale jeśli już ktoś zdecyduje się, nieco później niż powinien, wejść na drogę tańca zawodowego, to może się zetknąć z wieloma trudnościami tej pracy. Chodzi mi o rygor, intensywność treningu, ilość zajęć itp. Jednak z mojego doświadczenia tutaj wynika, że bardzo mało osób wybiera balet jako swój przyszły zawód.

Karina S.: W jakim wieku najlepiej jest zapisać dziecko na zajęcia z baletu?

Larysa P.: Najlepiej, gdy dziecko ma 5 lat, choć w szkole, w której teraz pracuję, są też dzieci od 4 roku życia. Ale rzadko prowadzę taką grupę.

Karina S.: Czyli woli Pani uczyć starsze dzieci?

Larysa P.: Dogałam się z każdym dzieckiem, w każdym wieku. Nie ma różnicy, lubię jednak, jak znam dziecko już od małego i dorasta ono na moich oczach, rozwija się. Mam bardzo dobre relacje z moimi uczniami z Mińska, którzy są już dorośli i mają swoje dzieci, dzwonią i czasami do mnie przyjeżdżają. To jest niesamowite uczucie.

Karina S.: Planuje Pani powrót do Mińska? Rodzina pewnie tęskni za Panią...

Larysa P.: Na razie nie planuję, dobrze mi się tutaj pracuje. Rozwijam szkołę razem ze swoją uczennicą, cieszę się postępami uczniów. A moja rodzina? Cały czas do mnie przyjeżdża lub ja ją odwiedzam.

Karina S.: Czy jest coś, czego brakuje Pani w Krakowie?

Larysa P.: Brakuje prawdziwego baletu, ale wierzę, że uda nam się to naprawić. ✖

Urban legends – czyli horror w wydaniu miejskim

Ogromne szczury mutanty chowające się w tunelach metra i polujące na ludzi. Zarażone gruźlicą i syfilisem gumy do żucia, nadziewane kawałkami żyłek. Nowa rasa nadludzi zamieszkująca tereny na Syberii. Brzmi jak tytuły jednej z poszukujących sensacji gazet lub fabuły niszowych horrorów? Błąd.

Joanna Cisko

Redaktor naczelna magazynu Mixer.

Studentka III roku Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza

Modrzewskiego na kierunku Dziennikarstwo i Komunikacja Społeczna

Urban legends lub inaczej „legendy miejskie” to rozprzestrzeniające się w gwałtownym tempie, przekazywane z ust do ust historie, mające w nas wywołać strach i niepokój. Trudno jednoznacznie powiedzieć, skąd wziął się ten termin, jednak wiele źródeł jako pomysłodawcę podaje amerykańskiego pisarza i folklorystę Richarda Dorsona. Według jego definicji legendy miejskie to opowieści, bazujące na „znajomym znanym”, które nigdy się nie wydarzyły, a są powtarzane jako prawdziwe. Ważną cechą jest również to, że za każdym razem historia jest subtelnie zmieniana i pojawiają się w niej nowe szczegóły, zupełnie jak w dziecięcej zabawie w „głuchy telefon”. Często dotyczy ona tajemniczych oraz przerażających zjawisk i, co najważniejsze, jest całkowicie nieprawdziwa.

Jedną z najczęściej powtarzanych i budzących przerażenie legend w Polsce była historia o czarnej wóldze. Popularny w latach 60. i 70. XX wieku samochód miał krążyć po zmroku i porwać dzieci, by następnie wysysać z nich krew, która miała być przeznaczona dla niemieckich bogaczy. Za kierownicą limuzyny znajdowali się Żydzi, sataniści, księża, zakonnice, a nawet według niektórych wersji – wampiry. Historia powróciła w 1999 r., wtedy jednak wólgę zastąpiło BMW, którego kierowcą miał być sam diabeł, pytający przechodniów o godzinę. Jak się można domyślić, ci szybko później ginęli.



Umierać, ale tym razem z powodu strachu, mieli również mieszkańcy podkrakowskiej gminy Liszki, gdzie w 2008 r. rzekomo grasowała puma. Czyhała ona na swoje ofiary w lasach, miała co najmniej 70 cm wzrostu oraz atakowała dzieci. W akcję poszukiwawczą została zaangażowana policja, strażnicy, łowcy oraz pracownicy pogotowia ratunkowego. Użyto dwóch śmigłowców, a same działania pochłonęły ok. 50 tys. zł. Media rozpisywały się o krwiożerczym zwierzęciu, prosząc wszystkich, którzy je widzieli i posiadali jakiegokolwiek informacje na jego temat, o skontaktowanie się z policją. Jak się można domyślić, puma szybko zaczęła pojawiać się na terenie całej Polski, czasami przebywając nawet w kilku miejscach naraz. W 2009 r. zwierzę miało zostać złapane i w tajemnicy zastrzelone, jednak już w 2010 r. ponownie zaczęło grasować po Polsce. Podobne przypadki zdarzały się zresztą wcześniej we Włoszech, Anglii oraz Francji, choć pierwsze doniesienia o zwierzęciu pojawiły się już w latach 80. w Stanach Zjednoczonych. Jak się jednak można domyślić, tam również nie udało się złapać pumy-widna.

Mniej mrozącą krew w żyłach historią, jednak wzbudzającą równie wiele emocji, jest opowieść o Wisławie Szymborskiej. Każdy z nas chociaż raz w życiu słyszał anegdotę o tym, jak znana poetka próbowała rozwiązać zadanie maturalne, które polegało na zinterpretowaniu jej własnego wiersza. Szymborska miała rzekomo dostać niską ocenę lub nawet nie zaliczyć zadania z powodu pominięcia klucza odpowiedzi i rozwiązania go całkowicie po swojemu. Opowieść ta była tak często powtarzana, że sprawę musiał zdementować sekretarz poetki, Michał Rusinek. W 2009 r. wyjaśnił on, że jest to jedynie legenda, a wydarzenie nigdy nie miało miejsca. Mimo to historia żyje własnym życiem i powraca za każdym razem, gdy zbliża się okres matur, a zdenerwowani uczniowie starają się podnieść na duchu.

Pocieszyć próbowali się również rodzice, których dzieci ginęły masowo w centrach handlowych w latach 2007-2008. Wydarzenia te miały mieć miejsce w specjalnie wydzielonych przestrzeniach do zabawy, w których latorośle przebywały podczas zakupów. Dzieci znikaly i nie udawało się ich znaleźć, pomimo angażowania do poszukiwań obsługi centrum i odpowiednich służb. Odnajdowały się dopiero po kilku godzinach, zupełnie „niekontaktowe” i leżące na wycieraczkach pod domem. Opowieść ewoluowała do tego stopnia, że znalazło się w niej miejsce na zaangażowanie centrum handlowego, które miało rzekomo obiecać wypłacenie odszkodowania i pokrycie kosztów przeszczepu. Przerażeni obywatele zadawali sobie masowo pytanie, dlaczego media milczą i nie biorą udziału w dyskusji o grasujących w Polsce łowcach organów. Oczywiście, nie trzeba było długo czekać, by pojawiły się teorie spiskowe wyjaśniające, że policja specjalnie wszystko wycisza, by nie doszło do niepotrzebnego wybuchu paniki.

Wraz z postępem technologicznym i pojawieniem się komputerów oraz internetu, powstała nowoczesna forma urban legends nazywana łańcuszkami. Jeżeli pamiętacie czasy, kiedy korzystało się jeszcze z popularnego komunikatora „Gadu-Gadu” zapewne nieraz padliście ofiarą takiego spamu. Przeważnie chodziło o zbieranie pieniędzy na „szczytny cel” – dla samotnego ojca, który musi wychowywać trójkę dzieci, dla młodego, sparaliżowanego chłopaka czy też na kosztowne leczenie raka u dziecka. Cechą charakterystyczną takich wiadomości było polecenie, znajdujące się na końcu – „roześlij to do X liczby osób, a od każdej podanej dalej wiadomości Y dostanie określoną kwotę na swoje konto bankowe”. Dla tych posiadających nieco mniej empatii pojawiały się również bardziej motywujące przekazy, które zaczynały się od słynnego „jeżeli zacząłeś to czytać wiedz, że Twoja mama/sąsiad/Ty umrzecie w ciągu X dni.” Okropne? Na szczęście lawinę nieszczęść dało się powstrzymać, przesyłając wiadomość do określonej na końcu liczby osób. Czasami miało się na to dobrą, czasami jedynie kilka godzin. Niektórzy próbowali ratować swój honor, zaznaczając, że nie wierzą w historię, ale wołają ją wysłać żeby „na wszelki wypadek” klątwa ich nie dotknęła, a oni mieli czyste sumienie.

Legendy i wyssane z palca historie towarzyszą nam od zawsze i nic nie wskazuje na to, by sytuacja ta miała ulec zmianie. Bawią, śmieszają, a czasami wywołują przerażenie. Stare opowieści będą nieustannie wypierane przez nowe, dostosowując się do obecnej sytuacji i czasów. Powtarzane z ust do ust, przenoszone za pomocą internetu czy też innych mediów, na pewno nigdy nie zginą. ❌

Po drugiej stronie ekranu

Po ciężkim dniu pracy zasiadasz przed telewizorem, szukając czegoś interesującego do obejrzenia. Szybko jednak zauważasz, że większość rzeczy to seriale paradokumentalne i tak naprawdę jedynym wyjściem jest... wyłącznie odbiornika.

Ewelina Jaskowska

Studentka III roku Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego na kierunku Dziennikarstwo i Komunikacja Społeczna

Czasami jednak znudzenie wygrywa i ponownie sięgasz po pilota. Po pewnym czasie zauważasz nawet, że wciągnąłeś się w obserwowanie życia obcych ludzi i jesteś nim zainteresowany. Dowodzi to jedynie, że ciekawość ludzka nie ma granic i że podglądanie ludzi sprawia niejednemu – sporą przyjemność.

Wiele zasiadających przed telewizorem osób, głównie starszych, uważa, że wszystko, co jest tam pokazywane, jest prawdą. Myślą, że może jakiś człowiek nagrywa te wszystkie perypetie z jakiejś ukrytej w czapce kamery lub po prostu dana rodzina zaprasza ekipę telewizyjną do domu, by ta mogła obserwować ich życie, nagrać je, a później wyemitować w telewizji.

Zazwyczaj w takich serialach bardzo dużo się dzieje, do tego stopnia, że sami zaczynamy zastanawiać się, jakie to nasze życie jest nudne wobec życia podobnych do nas ludzi, gdzie cały czas ktoś dowiaduje się o zdradach, dochodzi do rozwodów, porwań, zabójstw, kłamstw itp. Na dodatek wszystko to dzieje się oczywiście w jednym odcinku. Porównujemy się do ludzi, których widzimy po drugiej stronie ekranu i pomimo,

że nasze życie to bajka w porównaniu do tego „szalonego”, pokazanego w telewizji, stajemy się zakompleksieni, gdyż uważamy nasze własne po prostu za nudne.

Dochodzi przy tym do wielu rozczarowań, niektórzy nawet czują się oszukani, kiedy w końcu dowiadują się, że wszystko, co obejrzeli, jest oparte na napisanym wcześniej scenariuszu, a poszczególne sceny są wielokrotnie powtarzane. Całe te perypetie, wzloty i upadki bohaterów, to godziny pracy aktorskiej na płanie i jedynie wykreowana rzeczywistość.

Czy jednak w stu procentach można się z tym zgodzić? Musimy zadać sobie to pytanie, bo przecież wszystkie wyobrażenia na temat ciekawego życia, które prowadzą inni, właśnie runęły. I to jednak nie jest prawdą w stu procentach, albowiem w każdym odcinku występują prawdziwi ludzie, tacy jak ja czy Ty, Czytelniku. Jak zatem dostać się na plan? To wbrew pozorom nie takie trudne, jakby się wydawało.

Wszystko to może się wydawać skomplikowane lub po prostu myślimy, że się do tego nie nadajemy. Kamery, światła i perspektywa

wygłaszania dialogu może trochę przerażać. Ale zacznijmy od początku. Pierwszą rzeczą, dzięki której masz szansę się pojawić w telewizji, jest pójście do studia castingowego. Musisz ustawić się w kolejce po formularz i następnie go wypełnić. Na korytarzach dookoła roi się od panikujących ludzi w każdym wieku. Ale Ty nie panikuj.

Kiedy już podasz swój wzrost, wagę, wiek i jeszcze kilka niezbędnych danych, możesz przygotować się, by stanąć przed obiektywem. Ustawiasz się do kilku zdjęć, przedstawiasz do kamery oraz wygłaszasz kwestię, którą dostałeś w poczekalni. Następnie słyszysz znane: „odezwijemy się”. Wracając do domu uważasz swoje marzenia za stracone i zapominasz o całej sprawie.

Kilka tygodni później, gdy już zupełnie zapomnisz o wszystkim, dzwoni ktoś z nieznanego numeru. Okazuje się, że chcą właśnie Ciebie do odegrania jakiejś roli. Euforia pomieszana ze strachem i ekscytacją nie trwa długo. Czasem musisz pójść na kolejny casting, by pokonać już mniejszą grupę rywali, co nieco zwiększa Twoje szanse na dostanie wymarzonej roli.

3 minuty sławy

Nadszedł nareszcie dzień, w którym po raz pierwszy pojawisz się w telewizji; jesteś bardzo przejęty tym, co się zaraz wydarzy. Przychodząc na plan witasz się ze wszystkimi aktorami i siadasz przy stole, przy którym możesz przygotować się do roli. Wszyscy dookoła są zestresowani, szybko udziela Ci się panująca atmosfera. W pewnej chwili zapraszają Cię do charakterystami, by zrobić z Ciebie zupełnie nowego człowieka. Kiedy kończą, zastanawiasz się, jak to możliwe, że możesz być tak ładny (lub aż tak brzydki). Stajesz się postacią, którą odgrywasz, i na własne „ja” nie ma już miejsca.

Po tym jak zrobią Cię na błysk, możesz zacząć czekać, czasem nawet długie godziny na swoją scenkę. Może to wydawać się strasznie nudne, zupełnie jakbyś marnował swój cenny czas, jednak właśnie wtedy możesz poznać niesamowitych ludzi, dzięki którym zaczniesz Ci się tu naprawdę podobać. Długie rozmowy o ich wypadkach na planie i ogólnie o życiu, umilają bardzo czas oczekiwania, a dodatkowo catering sprawia, że czujesz się jak na spotkaniu towarzyskim.

Kiedy nadchodzi Twój czas na nagranie, odczuwasz lekki stres – przynajmniej na początku. Cała scena jest dokładnie dopracowana, najczęściej przez kilku reżyserów, zastępców reżyserów, opiekunów planu i całej reszty ekipy. Ustawiają Cię w najlepszym punkcie, gdzie będziesz najlepiej oświetlony i widoczny. Sceny często są powtarzane, więc uzbrój się w cierpliwość. Po wszystkim jednak wrócisz do domu z satysfakcją, że miałeś całkiem niezły dzień, i z chęcią ponownie staniesz na planie. A nuż czeka Cię kariera w Hollywood? **■**



Niewygodna sprawa

Thriller „Spotlight” w reżyserii Toma McCarthy’ego opowiada o pracy dziennikarzy śledczych „The Boston Globe”, którzy zajmują się delikatną i kontrowersyjną sprawą pedofilii w archidiecezji bostońskiej.

Klaudia Kowalska

studentka I roku Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego na kierunku Dziennikarstwo i Komunikacja Społeczna

Film oparto na kanwie prawdziwych wydarzeń z 2002 roku, kiedy gazeta opublikowała serię dużych artykułów ujawniających system Kościoła Rzymsko-katolickiego, opracowany w celu tuszowania nadużyć seksualnych księży. Tytułowy „Spotlight” oznacza reporterską pracę skupioną na szczególnie trudnych problemach lokalnych – w tym kontekście spełnia ona ważną rolę społeczną, przerywając milczenie w sprawie, o której wiedziała większość decydentów w Bostonie, a która była wciąż zamiatana pod dywan. Dobrze poprowadzona fabuła filmu idealnie ukazuje świat zakłamania i hipokryzji oraz ironię, że w najbardziej katolickim mieście Stanów Zjednoczonych przez wiele lat dopuszczano do dramatów wielu rodzin i cierpienia niewinnych dzieci.

Poza samym tematem warta zaważenia jest gra aktorska: Mark Ruffalo i Rachel Mc Adams świetnie odnaleźli się w rolach ambitnych i niczego nie bojących się dziennikarzy, którzy biorąc na siebie dużą odpowiedzialność dążyli do naświetlenia sprawy i zdobycia dowodów. Nie jest chyba zaskoczeniem, że film zdobył uznanie krytyków: sześć nominacji do Oscara, w tym dwie wygrane (naj-



Fot. materiały dystrybutora

lepszy film i scenariusz oryginalny) oraz trzy do Złotych Globów mówią same za siebie. Długo spekulowano, czy Akademia Filmowa nagrodi obraz, który porusza temat dla wielu niewygodny, choć niektórzy podkreślali, że został wyróżniony właśnie ze względu na temat. Biorąc pod uwagę,

jak bardzo jest on aktualny – nadal w mediach opisywane są skandale związane z pedofilią w środowisku księży na całym świecie – myślę, że warto obejrzeć dramat Mc Carthy’ego choćby po to, by samemu ocenić skalę tego problemu dawniej i współcześnie. ❧

Pierwotne emocje

Człowiek osadzony w brutalnie naturalistycznej przestrzeni, poddany pozbawionym emocji siłom natury, kierowany żądzą życia, miłością, ale przede wszystkim zemstą – to zarys fabuły „Zjawy”.

Szymon Łażny

student II roku Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego na kierunku Dzielnictwo i Komunikacja Społeczna

Akcja filmu w reżyserii meksykańskiego reżysera Alejandro Gonzaleza Inarritu rozgrywa się w 1823 roku w Górach Skalistych. Historia jest częściowo oparta na faktach, a scenariusz został napisany na podstawie powieści Michaela Punkego „The Revenant: A Novel of Revenge”. Opowiada o traperze Hugh Glassie (Leonardo DiCaprio), któremu po ataku niedźwiedzia grizzly, a następnie porzuceniu przez współtowarzyszy ekspedycji, udaje się przeżyć, i który w ciężkim stanie rusza w ponad trzystukilometrową drogę, kierowany pierwotnymi odruchami: instynktem przetrwania oraz chęcią zemsty. Wędrówka trapera staje się jednak drogą przez piekło bezwzględnej natury.

Sceny do filmu kręcone były poza studiem, w kompletnej dzicy, co dosadnie podkreśla autentyczność obrazu. Ludzie przedstawieni na tle bezwzględnych sił przyrody zdają się być bezsilni wobec jej potęgi, a postać głównego bohatera znaga się nie tylko z otoczeniem czy bólem fizycznym, ale również z psychiką pełną tragicznych obrazów z przeszłości, które wciąż do niego powracają. Wspomnienia Glassa zawieszają go w metafizycznej przestrzeni, pomiędzy realnym światem a fatanorganami, które pozwalają nam zrozumieć, z czym mierzy się bohater. Wszystkie postaci wolne są od ironii, a jedyną, która wybiega poza ten schemat, jest John Fitzgerald (Tom Hardy) – niemoralny, chciwy i egoistyczny traper, stający się przedmiotem zemsty Glassa. Zupełnie zaskakują zdjęcia Emmanuela Lubeckiego, wprowadzają bowiem niestandardowość obrazu, podkreślają przyrodę, ale przede wszystkim nadają całkiem nowy rodzaj dynamiki, której nie sposób szukać w żadnym innym filmie. Kamera podąża w ślad za postaciami niemal nie zważając na naturalne przeszkody. Muzyka wiąże się z brutalnym obrazem,



nadając mu przejmującą głębię. W filmie jest mało dialogów, co wcale mu jednak nie szkodzi, a tylko dodatkowo pozwala nam się skupić na emocjach bohaterów.

„Zjawa” jest filmem niestandardowym. Obnaża słabości człowieka na tle niewzruszenie brutalnego, a zarazem pięknego otoczenia, eksponując towarzyszące temu emocje. Świadomy reżyser przy współpracy z artystyczną elitą stworzył film, który przedstawia zupełnie nowe, a przede wszystkim niebanalne spojrzenie na świat. Taka umiejętność jest w dzisiejszym kinie rzadkością i dlatego nie pozostaje mi nic innego, jak polecić Wam „Zjawę”. x

Rihanna „Anti”

Można ją lubić, można kręcić nosem. Jedno jest pewne: czas działa na jej korzyść, a tej płyty słuchać będziemy w całości i na wrywki przez najbliższy rok.

Maciej Saskowski

doktorant Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego,
redaktor portalu JazzSoul.pl

Z płytami Rihanny jest trochę tak jak z filmami o Bondzie albo „Gwiezdnymi wojaczkami” – każde następne oblicze musi szokować nową jakością. Tylko płyta Rihanny ma jeszcze udowodnić, że artystka ciągle dojrzeła. Jeśli przyjmiemy, że w okresie debiutu wokalistka miała mentalność trzynastolatki, to wszystko się zgadza – obecna Rihanna to akurat świadoma swoich celów kobieta sukcesu. Postanowiła w oczywisty sposób prześcignąć samą siebie, tę z płyty „Unapologetic” i zatrudniła szereg świetnych producentów, m.in. Jeffa Bhaskera, DJ Mustarda, Briana Kennedy’ego, Timbalanda. Jak gdyby chciała powiedzieć: „nie rezygnuje się z rozwiązań, które przyniosły sukces, ale nie można też stać w miejscu”.

Mit głosił, że „ANTI” zawiera muzykę eksperymentalną. Taki był singiel „Work” – minimalistyczne

R&B w towarzystwie Drake’a, poza tym jednak na płycie znajdziemy najwyżej kilka podobnych ekscesów – „Consideration”, futurystyczny dub, walczykowo zdeformowany „Higher”, czy soulowo połamany „Woo”. Awangardę na „ANTI” najlepiej słyszeć w syntezatorowych tłach „Yeah, I Said It” i poszarpanych samplech chwytliwego „Same Ol’ Mistakes” – coverze, a w zasadzie kopii, ubiegłorocznej piosenki grupy Tame Impala – „New Person/Same Old Mistakes”.

Tradycyjne brzmienie reprezentuje kilka staroświeckich ballad („Kiss It Belter” i „Love On The Brain”), są 2 akustyczne nagrania („Never Ending” i „Close To You”) oraz murowany kolejny singiel, znakomite „Needed Me”, którego warto posłuchać kilka razy. Tak wiarygodnie i rewelacyjnie nie brzmiała jeszcze nigdy dotąd. Z dostawczyni megahi-

tów Rihanna przeobraziła się w nad wyraz inteligentną artystkę, szczykując się unikalnym stylem, charakterystycznym jedynie dla niej samej.

Rihanna kolejny raz ustala reguły gry na polu nowoczesnego R&B. W dziesięć lat od spektakularnego debiutu, zaledwie 27-letnia artystka zawstydza konkurentki odwagą w łamaniu soulowych barier, słuchaczy uwodzi zmysłową grą między jej olśniewającymi wokalizami a nowatorskim brzmieniem. Jako mało która z topowych czarnoskórych wokalistek, nieustannie czaruje i zatyka dech w piersiach.

Z płyty na płytę pogłębia się przepaść między nią a czarnoskórymi artystami, dla których rozrywka na wysokim poziomie i artyzm wciąż nie mogą pójść w parze. Soulowe piękno zagrane i zaśpiewane nie dość, że z pasją, to jeszcze mądrze jak u mało kogo. ✖

Aplikacja miesiąca:

Tinder

Marcin, Joshua a może Süleyman? Tradycyjne portale służące szukaniu drugiej połówki powoli odchodzą w zapomnienie, wyparte przez nowoczesne aplikacje.



It's a Match!

Joanna Cisko

Redaktor naczelna magazynu Mixer

Studentka III roku Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego na kierunku Dziennikarstwo i Komunikacja Społeczna

Tinder został po raz pierwszy uruchomiony w 2012 r. i początkowo działał jedynie na terenie szkół wyższych. Pierwszą z placówek, w której możliwe było wirtualne romansowanie, był Southern Methodist University w Teksasie. Od tamtego czasu popularność aplikacji zwiększyła się wielokrotnie, a jej zasięg objął aż 196 krajów. Według statystyk przedstawionych na stronie, każdego dnia łączy ona aż 26 milionów par (osób, które wzajemnie polubiły swoje profile i wyraziły chęć rozmowy). Brzmi nierealnie? Pora się przekonać.

Do poszukiwań swojego księcia na białym koniu lub księżniczki wystarczy jedynie telefon i konto na Facebooku. Aplikacja automatycznie pobierze nasze imię, zdjęcia, zainteresowania oraz listę znajomych i utworzy z nich nasz profil. Wszystko to w zaledwie kilka sekund. By zwiększyć swoją atrakcyjność możemy dodać opis, a od listopada 2015 jesteśmy w stanie zamieścić również informacje o ukończonej przez nas uczelni i wykonywanym zawodzie. Wbrew pozorom to – według przedstawicieli Tindera – jeden z ważniejszych czynników podczas szukania „drugiej połówki”. Patrząc na stworzoną przez nich listę najpopularniejszych profesji, na pierwszym miejscu wśród o mężczyzn znajdują się piloci, następnie przedsiębiorcy i strażacy. Wśród kobiet królują fizjoterapeutki, projektantki

wnętrz, ale i też właścicielki firm. Nie zaliczam się do żadnej z tych kategorii, jednak nie powstrzymuje mnie to przed rozpoczęciem łowów. Ustawiam jeszcze parametry, takie jak maksymalna odległość, w jakiej ma się znajdować mój amant, oraz zakres wiekowy. Nic prostszego. Już po chwili ukazują mi się pierwsze twarze i opcja zostawienia serduszka (akceptacji) lub też krzyżyka (odrzućenia danej osoby). Jeszcze prostszą metodą jest przesuwanie w prawo i w lewo, które przypomina bardziej internetowe zakupy niż szukanie swojego przyszłego partnera. W przeciwieństwie jednak do innych aplikacji, używając Tindera jesteśmy w stanie rozpocząć rozmowę z daną osobą dopiero wtedy, gdy ona również polubi nasz profil.

Mężczyźni wyskakują jeden po drugim. Wystudiowana poza, mina cwaniaka i zawiadycki uśmiech; selfie na siłowni pokazujące całkowicie przypadkowo nagi tors. Garnitur, i do tego drogi szampan – najlepiej Moët. Na ręce błyszczący, drogi zegarek wielkości piłeczki do ping ponga – koniecznie złoty, a już na pewno rzucający się w oczy. Czasami Rolex kupiony na stoisku u Chińczyka, nieco rozmazany, by nie wyszło na jaw, że kosztował jedynie 30 zł. Zdjęcie sportowego samochodu również nie zaszkodzi i do tego wakacje w egzotycznym miejscu, którego

nazwy nie da się nawet wypowiedzieć. Opcje dwoją się i troją.

Mój profil jest całkowicie anonimowy, nie mija jednak nawet kilka minut, a znajduję swojego pierwszego kandydata.

Paweł ma 18 lat, na profilu jedno zdjęcie z zamyślnym wyrazem twarzy i znajduje się jedynie 8 kilometrów ode mnie. Jak sam od razu przyznaje, ma już powoli dość tej aplikacji. „Człowiek się stara i pisze, a i tak zostaje ostatecznie olany” – wyjaśnia, gdy pytam o powody zdegustowania. Tylko raz udało mu się spotkać z dziewczyną poznaną przez aplikację, jednak nic z tego nie wyszło. Jak się okazuje, jest to dość częsty schemat – przeniesienie wirtualnej znajomości do świata realnego przeważnie kończy się krępującą ciszą i późniejszym zerwaniem kontaktu. Paweł dodaje jednak, że nie używał Tindera zbyt często, by móc powiedzieć coś więcej. „Dla mnie to bardziej jak zabawa, nie traktuję tego poważnie” – wyjaśnia i szybko zaznacza, że nie pisze w tej chwili z nikim interesującym.

Nie wiem czy powinnam się poczuć urażona, jednak zanim jestem w stanie odpisać, na moim ekranie pojawia się komunikat o kolejnym kandydacie. Zdaję sobie sprawę z tego, że mój pusty profil nie jest w stanie w jakikolwiek sposób nikogo zain-

teresować, a zostawiający serduszka mężczyźni automatycznie przesuwają wszystkie profile w prawo. Mój kolejny wybraniek jedynie to potwierdza. Gdy pytam Rafała, co powoduje, że decyduje się na zostawienie serduszka, odpowiada szczerze: „czasami nie patrzę na profil, tylko po prostu cały czas przesuwam w prawo. Jeżeli jednak skupiam się na zdjęciach, to liczy się dla mnie uśmiech, budowa ciała albo oczy, w zależności na co najdzie mnie akurat ochota.” Od Rafała dziwnym trafem również dzieli mnie odległość magicznych 8 kilometrów. Ma on 29 lat i cztery zdjęcia w galerii, na których widać, że przygoda to jego drugie imię – wyprawy, imprezy, znajomi, ale również i chwila na refleksję. Zdradza mi, że jest wyjątkowo nieśmiały i Tinder pomaga mu zawierać nowe znajomości. W swojej internetowej „kariery” udało mu się spotkać z dwiema dziewczynami, jednak nie zaiskrzyło i, jak w poprzednim przypadku, kontakt samistnie się urwał. W kwietniu minie rok od czasu, gdy rozpoczął korzystanie z aplikacji, jak sam jednak przyznaje, udało mu się porozmawiać w tym czasie jedynie z ok. 20 kobietami. „Nie jestem tu zbyt często, wchodzę jedynie, gdy mam chwilę czasu, czasami raz na kilka miesięcy” – wyjaśnia powody swojej małej aktywności.

Poszukuję dalej, mając nadzieję trafić na kogoś, kto posiada doświadczenie i jest w stanie powiedzieć mi nieco więcej. Profile mienią się przed moimi oczyma, a ja stoję przed dylematem, czy wybrać Marcina, Joshuę czy Süleymana. Każdy stara się zaprezentować z jak najlepszej strony. Od suchego i oficjalnego – „zapraszam do kontaktu”, po napisane z oczywistym błędem „nie musisz się w żaden sposób kremować”; mężczyźni robią wszystko, by skusić kobiety do wybrania ich profilu i zostawienia u nich serduszka. Konkurencja jest jednak wielka. Niscy, szczupli, wysocy, Polacy, Włosi czy Grecy. Można tu znaleźć wszystkich. Z każdej strony uśmiechają się do mnie więksi lub mniejsi przystojniacy, czekając jedynie na mój ruch. Przesuwam dalej w prawo.

●●●○○ BELL

12:00 PM

100%



tinder



Allison, 22



Marcin zaskakuje mnie od pierwszej chwili odmiennym podejściem – „mam mnóstwo historii” odpowiada, gdy pytam o jego doświadczenie. Ma 24 lata i dzieli nas jedynie 2 kilometry. Jako jeden z nielicznych zamieścił opis, z którego wynika, że posiada dwie firmy i kocha swoją pracę. Ze zdjęć uśmiecha się do mnie szeroko ciemny blondyn. „To dobra aplikacja, chociaż moje podejście jest zapewne nieco odmienne od wszystkich innych, ponieważ poszukuję tutaj prawdziwej miłości. Spotykałem się z różnymi kobietami, ciężko powiedzieć z iloma dokładnie, ale było ich ok. 30. Próbowałem związku, czegoś na poważnie, ale również i przelotnych znajomości.” Pytam o jego metodę wyboru dziewczyny i ponownie dostaję odpowiedź, jakiej udzielił mi Rafał – „przesuwam wszystkie profile w prawo, a potem czytam dokładnie opis, przyglądam się zdjęciom i jeżeli coś mi nie pasuje, wtedy usuwam. Zależy mi na informacji, komu się podobam.” Co jednak ze spotkaniami? Marcin zaznacza, że nie lubi, gdy kontakt wirtualny przeciąga się w nieskończoność. Jednak musi najpierw chociaż minimalnie poznać daną osobę, zanim zdecyduje się na randkę. Z bardziej szokujących ofert wspomina, że raz dostał propozycję ślubu od Ukrainki, której zależało jedynie na posiadaniu obywatelstwa. Gdy jednak pytam, czy poleciliby aplikację innym jako dobry sposób na znalezienie drugiej połówki, odpowiada: „raczej tak, dla mnie to idealnie rozwiązanie, ponieważ pracuję dziennie po 16 godzin i dzięki temu jestem w stanie zaoszczędzić wiele czasu, chociaż tradycyjny sposób jest o wiele lepszy, towarzyszy mu wiele emocji.” Tych ostatnich jednak na Tinderze zdecydowanie nie brakuje.

Przesuwam dalej, skupiając się na zamieszczonych opisach. Większość jest idealną pustką, jeżeli już jednak jakieś się pojawiają, są one przeważnie w języku obcym. Wielu mężczyzn ogranicza się do podania swojego wzrostu lub zamieszczenia mniej lub bardziej sensownych cytatów albo zabawnych tekstów. Jak to mówią – dla każdego coś dobrego.

Tomasz jako jeden z nielicznych zaskakuje mnie pozytywną historią swojej miłości. „Spotkałem się z kilkoma kobietami, z jedną z nich byłem nawet w półrocznym związku” – wyjawia mi z radością. Pytając o interesujące i wyróżniające się osoby, jakie poznał, wymienia tancerkę go-go, niedoszlą samobójczynię czy pin up girl. Przyznaje również, że dzięki Tinderowi poznał miłość życia, choć niestety nie została ona odwzajemniona. Ma 24 lata, typ urody „drawołopodobny”, z bujną brodą, na zdjęciach prężący się z kotem na kolanach. W opisie przekonuje, że lubi czytać książki i grać na komputerze. „Przeważnie zwracam uwagę na opisy i zdjęcia, ale ostatnio zdarza mi się lajkowanie na oślep. Staram się jednak unikać podróźnych i dziewczyn zza granicy, stawiam raczej na Polki” – zdradza mi swój sposób na podryw.

Panowie najczęściej przynikają więc oczy podczas poszukiwania wybranki serca i zostawiają serduszka wszystkim kobietom, które pojawią się na ich drodze. Jak argumentują – chcą zobaczyć, czy są atrakcyjni w ich oczach i dopiero później przeprowadzają selekcję. Próbuje uzyskać opinię przedstawicielki płci pięknej i ich metod dotyczących korzystania z Tindera. Małgorzata jednym ciągiem wymienia serwisy i strony, na których poszukiwała miłości swojego życia, jak się jednak okazuje – żadna z nich nie spełniła jej oczekiwań. „Gdy tylko zainstalowałam Tindera wystarczyły trzy spotkania, żeby znaleźć kogoś dla siebie.” Brzmi to wprawdzie jak idealna reklama, lecz dziewczyna uśmiecha się do mnie szeroko i zapewnia o swoim szczęśliwym związku. Jakie są jej oczekiwania? „Wiadomo, że ważne jest to, jak ktoś wygląda, ale liczą się również inne rzeczy, dla mnie np. to, że mężczyzna posiada jakieś hobby i ma zainteresowania. Zależało mi również na kimś wysokim, bo gdy ubiorę szpilki mam ok. 180 cm wzrostu.” Jak wspomina, była na randce z trzema kandydatami, dwóch było w porządku, jednak trzeci z nich całkowicie zawiązał jej serce. „Od razu pomiędzy nami zaiskrzyło, jesteśmy ze sobą od

miesiąca. Oboje szukamy kogoś, z kim można założyć rodzinę, dlatego na drugim spotkaniu wprowadziliśmy zasadę, że nie widujemy się już z nikim innym.” Czy jednak wszyscy szukają na Tinderze jedynie miłości? Michalina przyznaje, że ma chłopaka, ale nie przeszkadzało jej to w założeniu konta. „Przesiedziałam tam dwa dni, od razu mówiłam, że nie jestem zainteresowana związkiem, ponieważ jestem zajęta. Chciałam jedynie porozmawiać z kimś inteligentnym, poznać interesujących ludzi. Jeden z chłopaków naprawił mi komputer, a z drugim połączyła mnie pasja do wegetarianizmu i chodziny razem na obiady i lunchy.”

Moja przygoda zostaje niestety szybko przerwana. Logując się kolejnego dnia do aplikacji zamiast nowych par i kolejnych profili egzotycznych mężczyzn, dostaję informację, że moje konto podlega kontroli i tym samym nie jestem w stanie nic na nim zrobić. Lakoniczny komunikat wyjaśnia, że Tinder otrzymał na mnie zbyt wiele skarg i moja aktywność została zawieszona do czasu, aż zostanie ustalona dalsza procedura postępowania. Jedynie, co pozostaje mi w tej sytuacji, to wylogowanie się.

Dla tych jednak, którzy przestrzegają zasad i regulaminu aplikacji, Tinder wydaje się być dobrym sposobem na randkowanie. Zdecydowanie wyprzedza on wszystkie strony służące poszukiwaniu drugiej połówki i zapewnia niezapomniane wrażenia. Jego główną zaletą jest na pewno szybkość w doborze kandydatów oraz wymóg wzajemnego zainteresowania, który powoduje, że jedynie osoby, które wpadły nam w oko, są w stanie się z nami skontaktować. Minusy? Większość osób korzystających z aplikacji to turyści, szukający jedynie zabawy i nieznający ani jednego słowa w języku polskim. Jeżeli rozrywka znajduje się na Twojej liście priorytetów, to zdecydowanie miejsce dla Ciebie. Należy jednak kierować się starą, dobrą zasadą – nigdy nie wiadomo, kto znajduje się po drugiej stronie, dlatego warto zachować rozsądek. ❏



Od wyścigów do spełnienia marzeń

22 marca br. w Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego odbyła się konferencja prasowa z Gosią Rdest – kartingową mistrzynią Polski. Studenci pierwszego roku dziennikarstwa mieli okazję, by poznać tę niezwykłą zawodniczkę. W konferencji towarzyszyła nam również ekipa Krakowskiej Telewizji Internetowej, która relacjonowała przebieg całego wydarzenia.

Magdalena Skalka

studentka I roku Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego na kierunku Dziennikarstwo i Komunikacja Społeczna

Wszyscy uczestniczący w konferencji chętnie zadawali Gosi pytania, które dotyczyły nie tylko jej kariery sportowej. Gosia okazała się niezwykle otwartą i przyjazną osobą, chętnie udzielała odpowiedzi, w sposób profesjonalny starała się wyczerpać każdy poruszany przez nią temat. Na początku opowiedziała o tym, jak zaczynała swoją przygodę ze sportami kartingowymi. O tym, że pierwszy raz na tor zabrał ją jej tata, i że wtedy były to jeszcze wyścigi czysto rekreacyjne. Szybko zaczęła jednak odnosić sukcesy, najpierw w Polsce, a potem wyruszyła ścigać się za granicę, m.in. do Niemiec.

Gosia pokazała strój, w którym startuje w każdych zawodach; uczestnicy konferencji dowiedzieli się, jakimi samochodami miała dotąd okazję się ścigać. Dowiedzieliśmy się także, jakie auta sama posiada w garażu. Ponadto mistrzyni mówiła o tym,

w jaki sposób przygotowuje się do wyścigów i jakie ćwiczenia wykonuje, aby być w dobrej formie. Jest to przede wszystkim siłownia, na którą uczęszcza kilka razy w tygodniu, bieganie, czy – rekreacyjnie – basen, jak również squash.

Polska mistrzyni kartingu studiuje na dwóch kierunkach: dziennikarstwo i komunikacja społeczna oraz zarządzanie w mediach społecznościowych na Uniwersytecie Jagiellońskim. W późniejszej części konferencji Gosia opowiadała więc o tym, w jaki sposób łączy studia z wyścigami. Stwierdziła, że z pewnością nie jest to łatwe, jednak przy odpowiednim nastawieniu i organizacji czasu jest to możliwe.

Ciekawym jest fakt, że ta uzdolniona sportowo dziewczyna nie od zawsze marzyła o realizowaniu się w sporcie; jej drugą wielką miłością był teatr i aktorstwo, jednak ostatecznie postawiła na wyścigi, odkąd na

jednym z rajdów zajęła trzecie miejsce i stanęła na podium. Wtedy też jej przygoda z samochodami wyścigowymi zaczęła się na dobre.

Jednym z pytań zadanych Gosi było to, jak rodzice przyjęli jej pasję do sportów wyścigowych. Tata, zafascynowany sportem, od początku ją wspierał i był temu przychylny, mama natomiast, początkowo nastawiona dość sceptycznie, widząc sukcesy córki również całym sercem zaczęła jej sekundować. Kończąc konferencję, Gosia zachęciła nas do obejrzenia jej programu, w którym zajmuje się testowaniem różnych pojazdów, między innymi... koparki.

Poznanie Gosi Rdest było wielką przyjemnością. Kartingowa mistrzyni Polski jest przykładem, że wysiłek, jaki trzeba włożyć w trening i samą pracę sportową, przynoszą sukces, który udowadnia, że warto realizować własne marzenia. ✖

Wybieramy samochód, czyli student mądry przed szkodą

Rynek samochodów używanych w Polsce jest ogromny. Ogromna jest także liczba nieuczciwych sprzedawców próbujących wcisnąć klientowi niesprawne auto, byle tylko zarobić. Przedstawiam kilka wskazówek, które pomogą nie dać się oszukać przy oględzinach wymarzonego samochodu.

Krzysztof Szczupak

student III roku Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego na kierunku Dziennikarstwo i Komunikacja Społeczna

W pewnym momencie większość młodych ludzi podejmuje tę decyzję. Dla jednych jest ona tak ważna jak to, jakiego koloru założyli podkoszulek, dla innych to jedna z tzw. życiowych decyzji. Cóż to takiego? Kupno pierwszego samochodu. Jeśli należysz do tych pierwszych, to równie dobrze możesz skończyć lekturę w tym miejscu i wrócić do maratonu ulubionego serialu. Jeśli jednak zaliczasz się do drugiej grupy, lubisz auta i czujesz, że jakiś procent tego, co płynie w twoich żyłach, to benzyna, wszystko, co tu przeczytasz, powinno Ci się przydać.

Pierwszą kwestią związaną z zakupem samochodu jest budżet, jakim dysponujesz. To prawda, że najtańsze oferty na portalach z ogłoszeniami (mówię tu o jeżdżących pojazdach) zaczynają się od około 1000zł. Czy to oznacza, że za tak śmieszne pieniądze dostaniesz coś, co faktycznie jeździ? I tak, i nie. Należy wziąć pod uwagę, że niska cena nie bierze się znikąd. Ważne! Nie ma czegoś takiego jak okazja na rynku samochodów używanych. Jeśli naprawdę dysponujesz niskim budżetem, to przed zakupem postaraj się go przynajmniej podwoić. Kupując za 1000zł prawdopodobnie i tak szybko dołożysz do auta drugie tyle, a ile nerwów zjesz na ciągłych diagnozach i naprawach usterek, to Twoje.

Ok, masz budżet – założmy – od 2 do 10 tysięcy złotych. Spora rozbież-

ność, ale dysponując takimi pieniędzmi stać Cię będzie na samochód klasy miejskiej, ewentualnie kompakt. Niezależnie od wieku, marki czy pochodzenia, powinieneś zwrócić uwagę na podobne rzeczy. Po pierwsze – niezależnie od warunków atmosferycznych samochód musi ładnie „odpałać”, a potem bez problemu chodzić na wolnych obrotach, czyli potocznie na luzie; nie ma prawa gasnąć, obroty silnika nie mogą skakać. Nawet, jeśli auto nie jest wyposażone w obrotomierz, łatwo sprawdzisz silnik. Równo pracuje i nie wydaje, żadnych dziwnych odgłosów.

Drugą istotną sprawą jest praca sprzęgła i skrzyni biegów, których test wymaga jazdy próbnej. Najprostszą metodą na sprawdzenie stanu sprzęgła jest mocne wciśnięcie pedału gazu podczas jazdy na trzecim biegu. Jeśli wskazania prędkościomierza będą rosły proporcjonalnie do wskazań obrotomierza, to sprzęgło jest w co najmniej niezłym stanie. Jego naprawa to spory wydatek, wiążący się z co najmniej kilkudniowym pobytem pojazdu w serwisie. Stan skrzyni biegów poznasz po tym, czy biegi wchodzi gładko, bez zgrzytów oraz czy nie ma problemu z wrzuceniem jedynki i wstecznego, gdy samochód stoi w miejscu.

Trzy: podczas jazdy dobrze sprawdzić skuteczne działanie hamulców oraz to, czy łatwo dozjuje się siłę, z jaką

hamują. Warto zwrócić uwagę na stan tarcz i klocków hamulcowych. Oprócz hamulców posłuchaj pracy zawieszenia – wyraźne i nadmierne stuki, brak precyzji prowadzenia mogą oznaczать duże koszty napraw. Sprawdź też zachowanie samochodu na zakrętach: powinieneś czuć na kierownicy, co dzieje się z przednimi kołami. Duży luz na kierownicy, słabe czucie w zakrętach i stuki mogą wskazywać na to, że zużyta jest któraś z części układu kierowniczego.

Gdy auto przejdzie pomyślnie powyższe oględziny związane stricte ze stanem technicznym, czas przejść do stanu nadwozia. Tu przyda się podnośnik albo kanał, ponieważ to, że nie zdiagnozowałeś rdzy na zewnątrz, czyli (na nadkołach, progach, przy uszczelkach drzwi itp.) nie oznacza, że nie będzie jej na podłodze pojazdu. Podłoga ma tendencję do rdzewienia w okolicach bagażnika, tam gdzie znajduje się wneka koła zapasowego, a także przy łączeniu progów z podłogą. Jeśli pomimo dobrego stanu mechaniki po sprawdzeniu podwozia okaże się ono skorodowane, to rezygnuj jak najszybciej z tego samochodu! Zaawansowane stadium korozji dla samochodu to jak zaawansowane stadium raka u człowieka – najczęściej oznacza wyrok śmierci.

Jeśli już upewnisz się, że pojazd, który oglądasz, ma zdrowy silnik i blachę, zwróć uwagę na stan plastików, kierownicy, tapicerki, działania wskaźników, radia, oświetlenia wewnętrznego itp. Zadbany środek wiele mówi nam o poprzednim użytkowniku, a już szczególnie o jego podejściu do serwisowania pojazdu.

To właściwie wszystkie wskazówki, prawda jest jednak taka, że szukając samochodu mającego 10 i więcej lat trzeba mieć, oprócz dużej dawki zdrowego rozsądku, także dużo szczęścia, bo łatwo trafić na nieuczciwego sprzedawcę, który zaniżył przebieg, czy jak się potocznie mówi „pospawał to auto z pięciu”. Z mojej strony pozostaje Wam życzyć przede wszystkim wytrwałości w poszukiwaniach wymarzonego pierwszych czterech kółek tak, aby student był jednak mądry przed szkodą. **x**

5.

OGÓLNOPOLSKA
KONFERENCJA
MEDIÓW
STUDENCKICH

13-15
KWIETNIA

KRAKÓW

SPOTKANIA, DYSKUSJE, WARSZTATY

JACEK ŻAKOWSKI
KONRAD PIASECKI
ANNA GACEK
FILIP CHAJZER
KAMIL BALEJA



<https://www.facebook.com/konferencjamediodwstudenckich/>

ZAPRASZAJĄ:

Krakowska Akademia
im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego
KTVI.PL RADIO FRYCZ